

ŻYCIE DUCHOWE

JESIEŃ 88/2016

Miłosierdzie aż do bólu

Wydawca

Prowincja Polski Południowej
Towarzystwa Jezusowego
Wydawnictwo WAM

Zespół redakcyjny

Józef Augustyn SJ,
Marek Błaza SJ,
ks. Krzysztof Grzywocz,
Dariusz Kowalczyk SJ,
Wacław Królikowski SJ,
Stanisław Morgalla SJ,
Jacek Siepiak SJ (redaktor naczelny),
Katarzyna Stokłosa (sekretarz redakcji)

Układ graficzny i projekt okładki

Anna Jędrusiak

Zdjęcie na okładce

Frédéric Bisson / Flickr.com / CC BY 2.0

Zdjęcie na s. 14 Piotr Szalanski

Zdjęcie na s. 76 Katarzyna Niżegorodcew

Zdjęcie na s. 88 Leszek Ogrodnik

Zdjęcie na s. 108 Grażyna Makara

Skład

Andrzej Sochacki

Superiorum permissu

ISSN 1232-9460

Adres redakcji: ul. Kopernika 26,

31-501 Kraków, tel. 12 62 93 292

e-mail:

Zycie.Duchowe@wydawnictwowam.pl

www.zycie-duchowe.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów i zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych nie odsyłamy.

Numer zamknięto 29 sierpnia 2016 roku.

ŻYCIE DUCHOWE

JESIEŃ 88/2016

Miłosierdzie aż do bólu

Uczynki miłosierdzia co do ciała

- Janina Ochojska
Akcje humanitarne a media 5
- Jacek Siepsiak SJ
Samarytanka u studni 11
- Siostra ulicy
Rozmowa z Anną Bałchan SMI 15
- Jarosław Mikuczewski SJ
Nie tylko nakarmić 35
- Radości i nadzieje więźniów
Świadectwa 43
- „Teatrino” – obustronna terapia
Rozmowa z Jadwigą Sobczak, Zofią Uzelac,
Małgorzatą Flegel i Piotrem Seweryńskim 49
- Roberto Allegri
W ramionach Matki Teresy 63
- Maria Miduch
Miłosierdzie przewyższające śmierć 69

Uczynki miłosierdzia co do duszy

- Małgorzata Bilaska
Doktorat za zuchwałość 77

Między pouczeniem a krytyką Rozmowa z ks. Jackiem Stryczkiem	89
Grzegorz Kramer SJ Kierownictwo duchowe przez Internet	101
Jacek Prusak SJ Strapionych pocieszać – wiedząc jak!	109
Maria Król-Fijewska W dobie asertywności...	117
Papież Franciszek Miłość wszystko przetrzyma	123
Wacław Oszajca SJ Darować jak Bóg	127
Bartłomiej Sury Znajomości w niebie	137
Anna Woźniakowska Wieczne odpoczywanie...	147
Z teki formatora	
Wiesława Przybyło ASC Dylematy formatora	157
Słowo, obraz, czyn	
Wacław Oszajca SJ Nie tylko myślą, słowem, uczynkiem. Poezja Abrahama J. Heschela	171
Ogłoszenia	182

Słowo wstępu

Słodkawą litość odrzucamy. Nie o nią chodzi. Jest nieskuteczna. Poza tym zbyt łatwa. Pod jej wpływem podejmuje się nieprzemysłane działania.

Ból trudno wybrać. Raczej od niego uciekamy.

Staramy się uśmierzyć to, co dolega.

Jak więc zdecydować się na miłosierdzie trafione, docierające do rzeczywistych zranień? Jak uniknąć powierzchowności i działań pozornych?

Trudno dotknąć sensownie czyjegoś bólu tak, by nas nie bolało.

Uczynki miłosierdzia co do ciała i co do duszy to taki mały przewodnik po miejscach bolesnych, a jednocześnie miejscach, gdzie ból przeradza się w miłosierdzie. By spojrzeć miłosiernie, trzeba współczuć, by urzeczywistnić miłosierdzie, trzeba umieć cierpieć. Jak nie uciec? Jak temu podołać?

Spójrzmy na konkretne przykłady, na ludzi z ich życiem duchowym, dla których Rok Miłosierdzia to tylko okazja do refleksji nad twardą codziennością.

Jacek Siepsiak SJ

H

Wokół uczynku miłosierdzia:
Głodnych nakarmić



Akcje humanitarne a media

Media publiczne – prywatne czy społecznościowe – są bardzo ważne we współczesnym życiu społecznym. W poniższym tekście skupię się na jednej tylko roli, jaką odgrywają, przekazując informacje o wydarzeniach w Polsce i na świecie. Ich odbiorcy na tej podstawie tworzą sobie obraz swojego kraju i świata, co z kolei wpływa na ich postawy społeczne, światopogląd oraz sposób podejścia do rozwiązywania problemów globalnych lub lokalnych. Jaką rolę w tym zakresie pełnią polskie media? Jaką świadomość i zaangażowanie społeczne budują? Jaki obraz świata tworzą? Jaka jest dzisiaj misja i rola mediów? Jak ją wypełniają i jak wpływają na społeczeństwo?

Media i ich odbiorcy

Zazwyczaj informacje w polskich mediach związane są raczej z wydarzeniami, a nie z systematycznym budowaniem zainteresowania i analizą problemów. Takie tematy jak AIDS, woda, głód, edukacja na świecie, niesprawiedliwy handel, wykorzystywanie pracy dzieci, handel ludźmi, efekty wojen i katastrof naturalnych oraz wiele innych powinny być stałym elementem programów informacyjnych, reportaży, dyskusji etc.

Polskie media skupiają się przede wszystkim na tym, co dzieje się w kraju, i na polityce wewnętrznej. Prezentują głównie wypowiedzi polityków dotyczące bieżących spraw lub krytyki innych polityków, komentarze do komentarzy oraz liczne sensacje i plotki. Świat postrzegany przez polskie media to przede wszystkim świat nieograniczonej konsumpcji i rozrywki, świat zamożnych krajów, których styl życia staje się upragnionym celem.

Informacje ze świata dotyczą najczęściej tematów, które łączą się z Polską. W 2013 roku w polskich mediach wojna w Syrii była prawie niezauważalna, w 2015 roku kiedy problem uchodźców z Syrii zaczął dotyczyć również Polski, pojawiło się nie tylko więcej informacji, ale również analizy sytuacji w regionie. Podobnie jest z krajami afrykańskimi. O przemianach w Egipcie czy w Tunezji mówiło się sporo, bo w tych krajach wielu jest turystów z Polski. Co wiemy o innych krajach tego kontynentu? W jakich polskich mediach można znaleźć informacje o wydarzeniach w Erytrei, Mali czy Sudanie Południowym? Polacy dziwią się, dlaczego Czeccy nadal szukają azylu w innych krajach. Dla nich wojna tam się skończyła, dlatego w polskich mediach brak informacji o tym państwie.

Znam bardzo wielu dziennikarzy. Współpraca między nimi a Polską Akcją Humanitarną jest bardzo ważna. Zadając im pytania o misję mediów, ich udział w budowaniu świadomości Polaków na tematy społeczne czy dotyczące świata, słyszę tę samą odpowiedź: brak pieniędzy, liczy się oglądalność, liczy się sprzedaż, ludzie nie chcą o tym słyszeć, nie chcą o tym czytać. A więc i nasza postawa

społeczna, i poczucie odpowiedzialności za świat także mogą mieć wpływ na media. Nie tylko media na nas. Wszyscy ponosimy odpowiedzialność za to, co wiemy i co myślimy – media i ich odbiorcy. Pomiędzy nami a mediami toczy się – powinien się toczyć – dialog, który polega między innymi na świadomym i krytycznym odbiorze informacji. Nie wszystko, co przeczytamy na Facebooku, jest prawdą, a za taką zwykliśmy uważać na przykład informacje o uchodźcach, które tworzą fałszywy obraz ich problemów. Z powodu takich fałszywych informacji tkwimy w stereotypach: biały jest ofiarą terroryzmu, a muzułmanin terrorystą. To nie pozwala nam dojrzeć w muzułmaninie człowieka. Żeby uniknąć stereotypów oraz wpływów fałszywych informacji, relację my – media powinniśmy budować na wartościach, takich jak uznanie prawa każdego człowieka do życia i do rozwoju, równość wobec prawa, poszanowanie każdej kultury i religii.

Media powinny poszerzać nasze horyzonty i wiedzę nie tylko o tym, co się w świecie dzieje ważnego, ale również o tym, w jaki sposób można rozwiązać problemy tego świata i jak rozwiązują je ci, którzy są zaangażowani w różnego rodzaju działania. Powinniśmy inspirować media do współdziałania i opisywania tej „części” świata, gdzie dzieje się dobro. A w tym „świecie” dzieje się bardzo wiele. Bliski jest mi świat organizacji pozarządowych, których znam bardzo wiele – małych, dużych, ogólnopolskich, lokalnych i światowych. Znam bardzo wielu ludzi, którzy stanęli u początków działań, które stały się wielkimi dziełami służącymi dobru człowieka. Tych działań, tych organizacji jest o wiele więcej niż sądzimy.

Czy nas to nie dotyczy?

To, czy media będą pisać o nich i ciekawych inicjatywach społecznych, zależy też od nas, od naszej potrzeby i ciekawości świata, od naszej chęci uczestniczenia w jego przemianach. Często słyszę od ludzi: nas to nie dotyczy. Nie dotyczy nas problem uchodźców, nie dotyczy wojna w Sudanie Południowym, na Ukrainie czy w Syrii. Nie dotyczy nas fakt, że prawie miliard ludzi codziennie kładzie się spać bez jedzenia. A przecież w naszym świecie każdego dnia wyrzucamy 25 tysięcy ton żywności.

Żaden mur, żadne druty kolczaste nie powstrzymają człowieka, który z powodu głodu opuszcza swoją ziemię. To od nas zależy, czy w miejscu swojego pochodzenia będzie miał wodę i możliwość uprawy ziemi. To od nas zależy, czy człowiek żyjący w rejonie konfliktu będzie miał dostęp do jedzenia i wody. To my, ludzie, możemy rozwiązać te problemy, bo to my, ludzie, je stworzyliśmy. Współdziałanie pomiędzy nami a mediami może otworzyć nam okno na świat i stworzyć nowe możliwości do jego zmieniania.

Obie strony potrzebują poważnej, angażującej odpowiedzialnie całe społeczeństwo dyskusji na przykład na tematy związane z długotrwałym ubóstwem, zmianami klimatycznymi, sprawiedliwym handlem czy z przeciwdziałaniem łamaniu praw człowieka. Potrzebna jest nam wiedza o tym, jak nasz styl życia wpływa na życie ludzi w najbiedniejszych krajach. Jak wpływa na nie fakt, że kupujemy tanio rzeczy produkowane dzięki taniej sile roboczej w tych krajach.

Nie chcę przez to powiedzieć, że takie tematy w ogóle nie znajdują miejsca w mediach. Istnieją media, w których można znaleźć bardzo ciekawe analizy i informacje w tym zakresie. Jednak nie prowadzą one do debaty publicznej, która pozwoliłaby określić, jaką drogą świadomie chcemy pójść i dokąd dojść; do debaty, która określiłaby zakres naszej obywatelskiej odpowiedzialności oraz odpowiedzialności państw i polityków.

Dialog pomiędzy nami – mediami i odbiorcami – może nas wyrwać z obojętności i bezradności, obudzić wiarę, że mamy wpływ na to, co się dzieje w świecie, i przyczynić się do budowy prawdziwej solidarności. Miłosierdzie, które ma na względzie dobro drugiego człowieka, nie może się obyć bez wiedzy, która pozwala zrozumieć, że to dobro niekoniecznie wiąże się z moimi wyobrażeniami o dobru. Miłosierdziu jest potrzebna wiedza o tym, że każdy człowiek na ziemi ma takie same prawa do rozwoju, że niezależnie od wyznawanej wiary, kręgu kulturowego i rasy wszyscy jesteśmy ludźmi.

Wokół uczynku miłosierdzia:

Spragnionych napoić

Samarytanka u studni

Medytacja

Przeczytaj: J 4, 1-42.

Obraz: Studnia. Źródło. Oaza. Wodospad...

Prośba: O szczerze odkrycie pragnień.

Punkt 1. Dotychczasowe zaspokajanie pragnienia: Miała pięciu mężów. Nie wiemy, czy pięć razy owdowiała, czy pięć razy się rozwodziła. Z obecnym mężczyzną żyje chyba bez ślubu. W każdym razie miała bogate życie, jeśli chodzi o relacje z mężczyznami. Bardzo ich potrzebuje. Jest spragniona. Nawet teraz, przy studni, mówi, że nie ma męża, czyli daje do zrozumienia, że jest wolna, gotowa do zawarcia nowej „znajomości”, do wejścia w nową relację. Liczby pięć plus szósty wskazują na aspekt religijny Samarii, gdzie było pięć „heretyckich” sanktuariów, a Samarytanie ciągle pozostawali w konflikcie z Żydami i „ich” Jerozolimą (szóste sanktuarium). Możemy zastanawiać się nad ich pragnieniem relacji z Bogiem, pragnieniem satysfakcjonującego kultu – pełnego, siódmego.

Jezus mówi do Samarytanki: *Dobrze powiedziałaś... A On jej odpowiedział: „Idź, zawołaj swego męża i wróć tutaj!” Kobieta odrzekła Mu na to: „Nie mam męża”. Rzekł do niej Jezus: „Dobrze powiedziałaś: Nie mam męża. Miałaś bowiem pięciu mężów, a ten, którego masz teraz, nie jest twoim mężem. To powiedziałaś zgodnie z prawdą”. Rzekła do Niego kobieta: „Panie, widzę, że jesteś prorokiem [...]” (J 4, 16-19). Jezus zmusza ją do przyznania się do swojej sytuacji, swojej przeszłości i swojego nastawienia.*

Bywa, że ludziom trzeba najpierw pomóc w uświadomieniu sobie, czego tak naprawdę chcą. W przeciwnym razie ugaszenie pragnienia będzie powierzchowne, tymczasowe, nie nasyci raz na zawsze. To może sprawić ból i przykrość. Tym bardziej że pokazuje beznadzieję dotychczasowych prób zaspokojenia pragnienia, a nawet ich toksyczność.

Punkt 2. Pragnienia, dla których przyszła do studni: Jezus o godzinie szóstej, czyli w południe, pragnie nie tylko dlatego, że to najgorętsza pora dnia. O tej godzinie rozpocznie konanie na krzyżu. Zapragnie wody, ale także miłości. Kulturowy kontekst biblijny mówi o tym, że przy studni – a zwłaszcza przy studni Jakubowej – rozpoczynały się historie miłosne, które kończyły się małżeństwem. Niby Samarytanka jest gotowa na nową „przygodę”, ale tak naprawdę szuka pełni, spełnienia. Nie chce już pragnąć. Chce zaspokojenia definitywnego. I Jezus rozpoznał jej pragnienie.

Jak rozpoznać pragnienie ludzi, i to pragnienie wody żywej, która pozwoli nie wracać do starych, toksycznych trunków?

Punkt 3. Warunki zaspokojenia pragnień: Dlatego „ten siódmy”, czyli Jezus, staje na drodze Samarytanki (Samarytan), aby dać jej wody, po której już nie będzie pragnęła, która jej nie zawiedzie i która ją nasyci. Chodzi między innymi o prawdziwy kult w duchu i prawdzie.

Jezus na ludzkie pragnienie miłości odpowiada krzyżem, czyli także bólem. Odpowiada swoim pragnieniem. Jeżeli chcemy kogoś napoić, to trzeba uświadomić sobie własne pragnienia. Dajemy coś, czego wartość sami odczuwamy. Angażujemy się tam, skąd chcemy nieraz uciec. Trwamy nieraz przy czymś, co nas boli, bo na tym się znamy. Empatia to często owoc podobnych doświadczeń i pragnień. Napojenie, które zaspokaja, nie może opierać się na ułudzie. Potrzeba stanięcia w prawdzie, przyznania, że dotychczasowe próby nie dały pełnej satysfakcji. Trzeba przyznać się do tego, że jestem poszukujący, jak Samarytanie, którym nie wystarczyło jedynie świadectwo owej niewiasty.

Kult niesatysfakcjonujący. Relacje we wspólnocie pozostawiające niedosyt. Deficyty miłości. Nieludzka intensywność zaangażowań prowadząca do wypalenia. To wszystko każe pytać, czy mamy do czynienia z oddawaniem czci w duchu i prawdzie, czy tylko ze składaniem ofiar na takim czy innym ołtarzu.

Rozmowa końcowa: Porozmawiaj z Bogiem o swoich pragnieniach i o pragnieniach wokół siebie. Na ile są podobne i na ile owo podobieństwo jest potrzebne. Porozmawiaj też o swoich pragnieniach ukrytych.

Wokół uczynku miłosierdzia:
Nagich przydziać



Siostra ulicy

Z Anną Bałchan SMI ze Stowarzyszenia Po MOC dla Kobiet i Dzieci rozmawia Jacek Siepsiak SJ

Kiedy człowiek jest nagi?

Gdy zostaje odarty ze wszystkiego, co dla niego najważniejsze: z poczucia godności, z poczucia własnej wartości, z poczucia, że się jest dobrym człowiekiem, z dobrego imienia... To podstawa, która daje siłę do życia.

W swojej pracy spotyka Siostra przede wszystkim ludzi „odartych”...

Ktoś mógłby powiedzieć, że to ludzie przegrani. Z mojego punktu widzenia to ludzie, którzy dostali nowe życie. Taka właśnie jest nasza misja. Nie chodzi nam przede wszystkim o to, by ktoś żyjący na ulicy zszedł z niej, a ktoś, kto nie chodzi do szkoły, nagle skończył Cambridge. To z różnych powodów bywa nieraz niemożliwe. Każdy może zrobić tylko tyle, na ile pozwala mu jego historia, na ile jest gotowy. Wiele jest takich sytuacji, w których mimo naszych

wysiłków nie widzimy oczekiwanych efektów. Tylko że jeśli ma się ciśnienie „na efekty”, to lepiej przemałować pokój albo zacząć piec ciasta. Zrobimy to i będziemy mieli. Inaczej jest, jeśli chodzi o człowieka, o to, co dzieje się w jego sercu.

Na czym konkretnie polega misja Stowarzyszenia Po MOC?

Pomagamy kobietom i ich dzieciom w trudnej sytuacji życiowej. Naszymi podopiecznymi są przede wszystkim ofiary przemocy domowej, handlu ludźmi, przymusowej prostytucji i wykorzystywania seksualnego, a także osoby zagrożone współczesnymi formami wykorzystania. Staramy się im towarzyszyć w kryzysie i przygotować merytorycznie, ale i duchowo, na ile tylko się da, by mogli z niego wyjść.

Nie macie „ciśnienia na efekty”?

Pewnie, że chcielibyśmy, by każdemu się udało, ale w życiu różnie bywa. To Bóg daje czas i miejsce na dokonywanie wyborów czy podejmowanie decyzji o zmianie. My natomiast poprzez nasze działania chcemy, by ludzie przede wszystkim doświadczyli Boga i Jego miłości. Chcemy, by zrozumieli, że każdy został przez Niego wybrany, że Bóg się nim nie znudził i że Jego miłosierdzie jest ogromne. To miłość dana za darmo, bez zasługiwania, mimo błędów, lenistwa, najciemniejszej strony człowieka. Cokolwiek by się nam przydarzyło, cokolwiek byśmy zrobili, zawsze mamy szansę.

Jeśli chodzi o efekty, to może nie ma fajerwerków, ale podejmowany wysiłek przynosi owoce. Bóg działa. Widzę to na co dzień.

To małe kroki stawiane każdego dnia. Ważne, by umieć się nimi cieszyć i pozostać wiernym, wytrwać do końca, bo to przecież Jego dzieci i Jego dzieło. A jeśli tak, to trzeba się przygotować na walkę, i to duchową. Umówmy się, kiedy chcemy, by ludzie zmieniali swoje życie na lepsze, dotarli do Boga, odnajdywali siebie, panowali nad swoim życiem, stawali się wolni, to diabłu się to nie podobą i robi wszystko, by nas atakować.

Większość naszych podopiecznych ma przerąbane w przedbiegach. Nie wiem, jak to ładniej ująć. Porzuceni przez rodziców, wyzywani od gnojów, wplątani w kradzieże, w różnego typu przestępstwa. Wszystko to obciąża ich sumienia i krzyczy: „Jesteś niczym!”. Włącza się też myślenie typu: „No tak, porzucili mnie, jestem nieważna, muszę sobie radzić sama”. Jak ma sobie poradzić czternastolatka czy piętnastolatka? Jak sobie poradzi z chlejącymi rodzicami? Co ona może zrobić?

Szybko pojawiają się ludzie, którzy bardzo chętnie podchwycą ich biedę i zaproponują „wolność”: narkotyki, seks... Czy to chłopcom, czy dziewczynom, bo to dotyczy obu płci i różnych sposobów wykorzystania. Młodzi ludzie lgną do bandziorów, bo oni dają im iluzję ochrony. Pakują się więc w dziwne układy, które sprawiają, że ich serca i umysły stają się zatwardziałe. Ofiary zaczynają krzywdzić. Wiele kobiet mówiło mi na przykład: „Nie myślałam o tym, że ktoś cierpi, bo wyrwałam jej torebkę, zerwałam łańcuszek z szyi czy wyrywam kolczyk z ucha. Ja to miałam gdzieś. Chciałam tylko być w tej grupie” albo „Chciałam tylko być blisko niego. Wszyscy się go bali, a ja byłam jego dziewczyną, więc czułam się bezpiecznie.

Byłam dla niego gotowa zrobić wszystko”. Niektóre kobiety mówią nawet: „Byłam gotowa zabić”, „Byłam gotowa sprzedać swoje ciało, byle tylko nie być odrzuconą”.

Wykorzystywani są też ludzie starsi, których dorosłe dzieci biją, okaleczają, maltretują wręcz i zmuszają do żebractwa. To prawdziwa mieszanka ludzkiej biedy, masakryczne zranienia. W tym wszystkim wolność może dać tylko Bóg. Jestem o tym przekonana, bo sama tego doświadczyłam. Towarzysząc naszym podopiecznym, przyglądając się historiom ich życia, widzę, jak Bóg przemienia, jak Bóg uwalnia, ale to oczywiście jest proces.

I pewnie długo trwa.

Są u nas kobiety, ofiary wieloletniej przemocy domowej, które żyły w takim zakleszczeniu nawet piętnaście lat. Nie były w stanie ochronić swoich dzieci. Miały poczucie winy, że zaczęły szukać pomocy. Nieraz to ich dzieci proszą o ratunek dla nich. Wyjście z takiego zniewolenia umysłu i emocji, dostrzeżenie, że ta sytuacja jest chora i zła, wymaga czasu. Praca z nimi to także nauka budowania codziennych relacji, zwłaszcza jeśli chodzi o dzieci. Sytuacja dorosłych wpływa na dzieci, które często w tym domowym koszmarze muszą sobie radzić same. Kiedy nie mają dorosłego przewodnika w domu, łapią to, co daje świat. Stają się dzikie w relacjach albo raczej w ich braku. Ich całym życiem jest telefon komórkowy i markowe ciuchy. Dlatego tak naprawdę uczyimy ich budować codzienność: rozmawiać, słuchać, dbać o drugiego, troszczyć się o jego potrzeby czy nawet siedzieć razem przy wspólnym

posiłku. Nieraz dziwi zwykłe pytanie: „O której wrócisz?”. Dziwi ich zainteresowanie drugim człowiekiem... Uczymy się też wspólnej modlitwy jedni za drugich.

Jak Wasi podopieczni trafiają do stowarzyszenia?

Przede wszystkim przez policję i Ośrodek Interwencji Kryzysowej. W naszym klasztorze przy ul. Krasińskiego w Katowicach mamy też punkt konsultacyjny, do którego można się zgłaszać. Pamiętam, że kiedyś przyszła tam dziewczynka z trzeciej klasy szkoły podstawowej i poprosiła o pomoc dla mamusi, bo uznała – pewnie po rozmowie z innymi dziećmi – że sytuacja w jej domu nie jest normalna. Dzieci często przyjmują to, co dzieje się w ich domu, za normę i kiedy orientują się, że tak nie jest, są w szoku. Na przykład, że nie w każdym domu się pije, że nie każda rodzina żyje z pieniędzy Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej, że nie wszyscy rodzice pozwalają swoim dzieciom na łożenie po nocach, że dzieciom stawia się granice.

Trafia do nas mnóstwo pogubionych i dzieciaków, i dorosłych. Niektórzy mają dwadzieścia, trzydzieści lat i mówią: „To moja pierwsza Wigilia bez alkoholu”; „U nas w Wigilię już o piętnastej była policja”. Święta czy inne wolne dni były dla nich przerażające. Po raz pierwszy u nas mogli fajnie świętować. Inaczej...

Czy po wyjściu z takiej sytuacji pomoc zawsze jest możliwa? Na ile Wasze podopieczne otwierają się na nią? Ludzie nie chcą nie raz mówić o swoich zranieniach.

Są osoby, z którymi nie można nawiązać kontaktu. Na zewnątrz wszystko wydaje się w porządku, ale brakuje chęci dotknięcia tego, co w głębi. Absolutne zamknięcie. Trudno zbudować jakąkolwiek relację. Rozmawiasz z nimi, ale nic do nich nie dociera. Ci ludzie są jak zombie. Robią różne rzeczy, zachowują jakieś normy i regulaminy, ale to wszystko jest zewnętrzne, to nie jest ich. Są jak wytresowani i tak głęboko poranieni, że za Chiny nie chcą wchodzić w jakiegokolwiek relacje. I nie mam tu na myśli głębszych więzi, jak przyjaźń, tylko najzwyczajniejsze ludzkie relacje, elementarne zaufanie drugiemu, pozwolenie, by ktoś ci towarzyszył, zgoda na to, by coś ci podarował.

Niektórzy totalnie odcinają się od ludzi, ponieważ w przeszłości wielokrotnie się sparzyli. W końcu ile razy człowiek może przeżyć porzucenie, zranienie? Najpierw rodzice, potem domy dziecka, różne placówki, ciągłe zmiany wychowawców... Ledwie zdążysz się do kogoś przyzwyczaić, może nawet polubić, a już kolejna zmiana, i kolejna. Człowiek potrzebuje relacji, potrzebuje drugiego. Nawet pies chce mieć swojego pana.

Dlatego złości mnie, że maluchy w domach małego dziecka nie-raz rok, dwa, trzy lata czekają na adopcję. Jest przecież mnóstwo ludzi, którzy nie mogą mieć dzieci, którzy tęsknią za dzieckiem, starają się o adopcję, a po drodze natrafiają na administracyjne cuda-wianki. Dziecko jak najszybciej powinno znaleźć się w rodzinie i mieć ludzi, którzy będą je kochać, którzy będą w jego życiu jakąś stałością. Inaczej wytworzy w sobie mechanizmy obronne i pozamiatane. Zamyka się i koniec. To sprawia, że w dorosłym

życiu nie potrafi wchodzić w związki, miłość myli z pożądaniem, nie jest zdolne do głębszej relacji albo wchodzi w relacje, które niszczą. Nie stawia sobie wymagań i udaje, że wszystko jest super. Wiedzę o życiu czerpie z mediów. Podobnie, jeśli chodzi o wiarę. O Jezusie wszystko wie z filmu *Kod da Vinci*. Totalne pomieszanie.

Kiedyś próbowałam rozmawiać z jedną dziewczyną. Było trudno. Nic. Powiedziałam: „Narysuj, jak się czujesz”. Narysowała siebie jako poszarpaną kłodę bez korzeni, bez żadnego zaczepienia, rzuconą jak po jakiejś wichurze. Martwa. Ale była tam mała gałązka z jednym zielonym listkiem – ślad nadziei... Często jednak mamy do czynienia z ludźmi, którzy tańczą tango śmierci. Żyją, ale jakby nie żyli. Zachowują się w sposób destrukcyjny. To prawdziwy obłąd. Jeśli nie przyjdzie Bóg i nie ogranie tego swoją mocą, to jest naprawdę ciężko. Człowiek sam wysiada. Co mu pozostaje? Wytrwać i wiernie się modlić, wbrew temu, co się widzi.

Nie ma Siostra ochoty uciec?

Tysiące, miliony razy. Kiedy ma się totalne poczucie bezsilności. Bezsilność w ogóle staje się twoją dobrą kumpelą. Często kłócę się z Bogiem, szybko się wkurzam i myślę: „To są Twoje dzieci. Rób, co chcesz”. Dlatego zawsze proszę Boga o wytrwanie jednego dnia. Mogę tylko zawierzyć Bogu i każdego dnia walczyć o człowieka. Kiepsko jednak znoszę bezsensowną śmierć. Bo czymś innym jest dobra śmierć, a czymś innym śmierć bez sensu. Nie zgadzam się na niepotrzebne cierpienie, na głupią śmierć pięknych, fantastycznych ludzi pełnych darów, którzy uwierzyli w szatański

podszepł, że są niczym. Zawsze się znajdzie jakiś sęp, który wykorzysty ich słabość, tęsknotę za miłością, za ojcem, za matką, samotność, brak środków do życia i jeszcze powie: „To był jego wybór”, „Ona tak chciała”. Kiedy stoję bezsilna nad grobem takiej młodej osoby, mam ochotę kopać ze złości. Człowiek nieraz po prostu nie wie, co robić.

I co wtedy?

Nie mam scenariusza. Słucham i pytam... Jeśli powiemy Bogu „chcę”, to Bóg będzie przez nas działał takimi, jacy jesteśmy. Dlatego już odpuściłam sobie: nie muszę być idealna. Nie czekam na dar doskonałości, by towarzyszyć ludziom. Do doskonałości nie dojdę pewnie nawet piętnaście minut po śmierci. Nie musimy być idealni fizycznie, psychicznie, duchowo czy intelektualnie. To mi się najbardziej podoba w moim Bogu. Możesz po prostu być, a On sobie zadziała. Każdego dnia doświadczam, że to Bóg prowadzi to dzieło, od początku. Zaczynaliśmy od ulicy. Przełożeni pozwolili mi wychodzić z domu o drugiej, trzeciej w nocy. Zakonnicy! Niektórym nie mieści się to w głowie, ale to Bóg tak chciał.

Ale i Siostra powiedziała „chcę”. Dlaczego?

Ponieważ poczułam, że Bóg mnie posyła, by dawać ludziom nadzieję. Poczułam, że taka, jaka jestem, mogę sprawić, by innym żyło się trochę lepiej. I nie mam tu na myśli kwestii materialnych. Gest i rozmowa są nieraz o wiele ważniejsze, a dać nie zawsze znaczy pomóc. Natomiast wybór Zgromadzenia Sióstr Maryi Niepokalanej

to trochę przypadek. Podobało mi się, że patronką zgromadzenia jest Maryja i że siostry pracują z kobietami, pomagając im i służąc w różnych sytuacjach. Nasze zgromadzenie powstało w połowie XIX wieku, we Wrocławiu. Najpierw było stowarzyszenie Misja Dworcowa, potem Związek Maryjny. To był czas emigracji kobiet ze wsi do miasta. Stowarzyszenie przede wszystkim opiekowało się ubogimi kobietami, które przyjeżdżały do miasta w poszukiwaniu pracy i zagrożone były prostytutką. Później zakon zaczął troszczyć się także o osoby starsze, chore i bezdomne, o edukację młodzieży.

Wasze zgromadzenie powstało ze stowarzyszenia?

Tak, dzięki temu przetrwałyśmy, kiedy w państwie pruskim w latach siedemdziesiątych XIX wieku w ramach Kulturkampf i wojny z Kościołem katolickim wprowadzono ustawę o likwidacji zakonów. My jako stowarzyszenie mogłyśmy działać.

Jak powstało Stowarzyszenie Po MOC?

Po wstąpieniu do zgromadzenia najpierw pracowałam jako katecheta i w duszpasterstwie. Było super, bardzo fajnie, ekstra. Dawało mi to wiele radochy, ale czułam, że to jeszcze nie to. Mówiłam nawet o tym Matce Generalnej. Kiedy więc w 1998 roku prezydent Katowic Henryk Dziewior poprosił o wydelegowanie siostr do pracy z młodymi dziewczynami zagrożonymi prostytutką, przełożona wysłała mnie. Tak zaczęła się moja praca w stowarzyszeniu Dom Aniołów Stróżów, którego celem jest opieka nad dziećmi ulicy.

Pracowałam tam przez kilka lat jako wolontariusz. Dzieci, którymi się zajmowaliśmy, często prowadziły nas do swoich matek, które borykały się z różnymi problemami: kryzysy rodzinne, wychowawcze, uzależnienie małżonka, własne uzależnienie, brak pracy, kryzysy wewnętrzne, wiary... Tysiące różnych rzeczy. Z potrzeby pomocy im wyłoniło się właśnie Stowarzyszenie Po MOC. Chciałyśmy stworzyć coś, co stanie się wsparciem dla kobiet w każdej sytuacji. W moim sercu była gotowość. Modliłam się: „Oto jestem”. Byłam otwarta, ale sama nie wymyśliłam, że będę pracować z dziećmi czy kobietami ulicy. Chciałabym móc się tym pochwalić, ale to nie był mój pomysł. I to jest najlepsze, bo kiedy mam dość, to sobie mówię: „Ja tego nie wymyśliłam. To był Twój pomysł, Panie Jezu, dbaj o to”. Zawsze można zwalić na Jezusa albo na przełożonych, że cię posłali.

Ale jak wspomniałam wcześniej, czasem pojawiają się bezsilność i wątpliwości. Na początku ani nasze zgromadzenie, ani Matka Generalna, ani ja nie wiedziałyśmy, jak to wszystko ma wyglądać. Nie wypadało odmówić prezydentowi miasta, ale co dalej? W pewnym momencie ogarnął mnie paralizujący lęk. Wydawało mi się, że wszystko mam poukładane pod kątem wiary czy zawierzenia i nagle mi się to rozsypało. Musiałam zaczynać od początku. Szarpało mną na różne strony. To była walka duchowa. Pomyślałam w końcu: „Albo zawierzam, albo świruję. Albo wierzę, że prowadzi mnie Jezus, albo daję sobie spokój”. Pomógł mi też znajomy franciszkanin, który zadał mi serię pytań: „Ty to wymyśliłaś?” – „Nie”. „Kościół cię posłał?” – „Tak”. „Biskup cię posłał?” – „Tak, abp Damian Zimoń”. „Przełożeni cię posłali?”

– „Tak”. „To zapieprzaj do roboty”. Po prostu: idź, masz wszystkie znamiona posłania Kościoła. To daje poczucie bezpieczeństwa, niezależnie od tego, co się wydarzy. Jeśli popełnisz błąd, to zawrócisz. Zachowasz się nie tak, przeprosisz. Podobnie powiedziała też Matka Generalna: „Idź, masz moje błogosławieństwo. Zaczynaj, najwyżej nie wyjdzie”.

Zaczęła Siostra i wyszło...

Zaczęłyśmy: ja i jeszcze jedna współsiostra, która jest ze mną od samego początku. To bardzo ważne. Nie wolno być samemu, bo samemu diabli biorą. Mówię to z całym przekonaniem. Gdyby nie ta siostra, nie wiem, co by mi się stało. Jest mądrość w posyłaniu „po dwóch”. To daje błogosławieństwo. Ważna jest też modlitwa za nas. Poruszamy się w bardzo niebezpiecznej sferze. Jeśli Pan nas nie ochroni, to nie ma o czym mówić. I chodzi mi tu nie tylko o zewnętrzne zagrożenia, ale i o wewnętrzne.

Kiedy Pan Bóg wygnał ludzi z raju, dał im ubranie, by ich chronić. Czy Wasi podopieczni mają coś w rodzaju takiej odzieży ochronnej?

Tak, to szata nowego człowieka. Często jest tak, że ich wcześniejsza historia strasznie im ciąży, niczym ołowiana kula. I kiedy mogą zrzucić z siebie ten dramat, oddać go, nagle zaczynają się śmiać, potrafią budować relacje, mają odwagę iść dalej, nie boją się już tak bardzo odpowiedzialności. Ta łaska staje się dla nich nową szatą.

Na przykład jedna z naszych podopiecznych, kobieta, trzydzieści parę lat, ofiara handlu. Wyjechała za granicę. Chciała zarobić pieniądze na utrzymanie rodziny. Oszukano ją i zmuszano do prostytucji. Wielokrotnie gwałcona, bita... Była też świadkiem morderstwa. Koszmar. I kiedy udało się jej z tego wyrwać i wrócić do Polski, ten koszmar nie dawał jej spokoju. Nie mogliśmy do niej dotrzeć. Sama nie była w stanie o niczym zdecydować. Przez dwa lata ktoś inny za nią to robił. Miała mózg niewolnika. Pytała nawet, czy może otworzyć drzwi albo wyjść do ubikacji. Jak dziecko w przedszkolu. Uciekała, chowała się po kątach z misiem w ręce...

Wydawało się, że to koniec, ale w pewnym momencie powiedziała, że chciałaby się wyspowiadać. Nie weszła jednak do pokoju, w którym miała się spowiadać, dopóki nie dostała klucza od drzwi. Ksiądz nawet trochę się dziwił, taki spanikowany... O co chodzi? A ona bez tego klucza nie czuła się po prostu bezpiecznie. I nagle wychodzi już po spowiedzi, płacze, śmieje się na zmianę i woła: „Jestem wolna!”. Nie zapomnę tego do końca życia, do dziś mam ciarki, kiedy o tym mówię. Mogła zacząć wszystko od początku. Zostawiła cały ten beton i zdrowiała z dnia na dzień.

Inna nasza podopieczna powiedziała mi kiedyś, że marzy o dniu, kiedy będzie mogła pójść do kościoła i jak inni przyjąć Jezusa. Została uwikłana w różne długi, zaczęto ją straszyć, szantażować i w końcu zmuszono do prostytucji. Taki mechanizm długów i zastraszania. Przychodziła do mnie, pracowałyśmy nad jej sytuacją... Trwało to może dwa lata i któregoś pięknego dnia dzwoni do mnie i mówi: „Jestem szczęśliwa. Przyjęłam Pana Jezusa. Jestem wolna”.

Ona też mówiła o wolności, a nie znała ani osoby, o której mówiłam wcześniej, ani jej historii. Zupełnie inny czas i przestrzeń. Opowiadała mi, z jaką radością przyjmowała Pana Jezusa, aż mi się głupio zrobiło, bo ja codziennie przyjmuję Jezusa, a nie ma we mnie takich emocji.

Bóg daje wolność i uzdrowia. Inna kobieta poszła kiedyś ze mną do kaplicy. Powiedziała, że nie wierzy, ale ponieważ mnie zna i lubi siostry, to pójdzie ze względu na nas, bo dla nas to jest ważne. Zapytała jeszcze, co ma robić. „A siedź sobie po prostu”. Po kilku dniach pyta: „Kiedy pójdziemy tam?”. Nie wiedziałam, co ma na myśli, a chodziło jej właśnie o kaplicę, „bo tam coś jest”. Ja mówię: „Tam Ktoś jest”. Nagle człowiek zostaje poruszony, czuje w sercu, w duszy, że „tam Ktoś jest”. Tak się zaczyna droga. I nie dlatego że ktoś powiedział płomienne kazanie... Na pozór nic się nie dzieje. Jest cisza, Msza, modlitwa, pieśń. To wszystko jakoś dotyka. Jest słowo Boga, które robi swoje.

Często też powtarzam naszym podopiecznym, że kiedy biorą je jakieś demony, niech czytają Biblię. Nieraz bronią się, że to trudne, że nie rozumieją. „Nawet jak nie rozumiesz, to czytaj”. Mnie też tak ktoś powiedział i to pomaga, ja to sprawdziłam. Słowo Boga ma moc, Bóg działa, Bóg przytula, oblewa twoje poszarpane rany balsamem. To nie jest ściema. Sama tego doświadczyłam i widzę, że Bóg tak samo działa w sercach naszych kobiet, które często nie były wychowywane w wierze. Serce ludzkie czuje pewne rzeczy intuicyjnie. Wie, że „tam Ktoś jest”. To, co możemy zrobić, to podprowadzić

kogoś w stronę nowego życia i odejść. Życ po nowemu każdy musi sam. Naszym zadaniem jest obecność i towarzyszenie.

Czy nie jest ważna także sympatia, zaufanie. Siostra wspomniała kobietę, która poszła do kaplicy, bo Was polubiła i zaufała Wam i to poprowadziło ją do Boga.

Sympatia i zaufanie mogą prowadzić do Boga, ale nie muszą. O co tak naprawdę chodzi? My nie udajemy wobec naszych podopiecznych, że jesteśmy ich przyjaciółmi. Często powtarzam, że pomagam im z czystego wyrachowania. Ja mam w tym biznes. To dziwi: „O, to siostra nie kocha bliźniego?”. Ja nie jestem tu po to, by mieć przyjaciół, fajnie się poczuć, bo jestem super. Nie mogę wykorzystywać do tego ludzi. Ludzie nie są do „używania”. Przyjaciół mam gdzie indziej.

Co to za biznes?

Uwielbiam patrzeć, jak Bóg przemienia tu i teraz. Co mnie obchodzi, co Bóg robił dwa tysiące lat temu? Ja chcę Go doświadczać tu i teraz. Wiem, to jest bezczelne, ale ja tego po prostu od Boga żądam. I chodzi mi także o mnie samą. Ciągłe muszę się zmieniać, dlatego mówię nieraz do Boga: „Czy byłbyś tak uprzejmy i zmienił coś we mnie?”. To jest mój biznes. Nie jestem altruistką. Ja jestem bizneswoman. Chcę nieba, chcę sensownie przeżyć życie, chcę żyć pełnią. Ale to nie znaczy, że za każdym razem będę widzieć wielkie efekty. Często gęsto ich nie widzę. Czasami coś się pojawia, ale to nie jest najważniejsze. Istotą tego wszystkiego jest wytrwanie.

W swojej pracy dotyka jednak Siostra ogromu ludzkiego bólu, od którego wielu ucieka. Ludzie nie chcą na niego patrzeć, a co dopiero towarzyszyć cierpiącym.

Ale to właśnie jest miłość, to właśnie jest wytrwanie. Najtrudniejsza rzecz – towarzyszyć komuś aż do śmierci. Towarzyszyć, oczywiście, na ile pozwala nam na to. Trzeba też zachować w tym pewną kulturę. Na „mus” idą tylko jabłka do ciasta. Jak to mówią, nie pchaj się, abys nie był odrzucony. Cała mądrość towarzyszenia polega na tym, że możesz przyjść i możesz odejść. Tak też kocha nas Bóg. Jeżeli ktoś nie chce pewnych rzeczy, mówimy: „OK, szanuję twój wybór”. Każdy ma swoją historię i trzeba być względem niej pokornym. Skąd możemy wiedzieć, co dla kogo jest dobre i w którym momencie? Oczywiście nie mam tu na myśli kwestii kardynalnie błędnych, którym mówimy „nie” i na które się nie zgadzamy.

Pewnie, że chce się uciec. Chciałoby się nie dostrzegać cierpienia czy ludzkich błędów, bo to boli. Ważne jednak, by pamiętać, że każdy ma prawo do błędu. Błądzimy, grzeszymy, zaczynamy od początku, nawracamy się. Takich kocha nas Bóg. Bóg w tym wszystkim jest stały i miłosierny. Tego trzeba się nam uczyć: miłość polega na nieustannym przebaczeniu sobie nawzajem. Nikt nie jest idealny, ale ważne, by w tym wszystkim nie grać, nie udawać, nie dorabiać sobie ideologii do swoich błędów, ale być autentycznym. Wtedy i ludzie nam wybaczą. Na tym polega miłość.

Jak pomagać?

Nie wolno robić z ludzi inwalidów. Chcemy przede wszystkim, by nasi podopieczni przejęli kontrolę nad swoim życiem, na przykład płacili swoje rachunki. Każdy może coś zrobić dla siebie i dać coś innym. Kiedyś zostałam zaproszona na konferencję zorganizowaną przez wspólnotę „Modlitwa i Czyn”. Weszłam na salę, a tam mnóstwo osób na wózkach inwalidzkich. Pomyślałam „Jaki «czyn»? Co oni mogą zrobić?”. Rozmawiałam tam z jedną sparaliżowaną kobietą. Potrzebowała absolutnej pomocy innych, ale dla swoich przyjaciół i znajomych robiła z papieru czy z wełny wielkanocne króliczki. Rozwaliła mnie. Byłam wzruszona. Jedyne, co mogła zrobić, to wielkanocne króliczki, i podjęła ten trud. A my? Mamy zdrowe ręce, mamy tyle zdolności, tyle możliwości... Czy robimy to, co możliwe, tu i teraz? Czasem się nam wydaje, że zrobilibyśmy dużo, gdybyśmy byli zdolniejsi, ładniejsi, inteligentniejsi, mieli więcej kasy. Nie! Co możesz zrobić tu i teraz? Zawsze coś można zrobić, nawet maleńkiego, i to jest najfajniejsze. Nie można o tym zapominać.

Pomagając, trzeba rozeznawać, ile, komu i co, bo jeśli ktoś jest niczym kieliszeczek, to nie dasz mu wiadra wody. Trzeba też uważać, by ludzi nie poniżyć. Nieraz obdarowani zamiast przyjąć dar czy pomoc z wdzięcznością, wściekają się, bo czują się upokorzeni. Dzieci na przykład rzucają czekoladowymi cukierkami... Ktoś pomyśli: „O co chodzi?”. One po prostu zdają sobie sprawę, że ich rodziców nie stać na takie rzeczy, że to nie jest ich poziom. To budzi w nich złość, agresję. Taki podświadomy mechanizm obronny.

Wasza pomoc nie zawsze spotyka się z wdzięcznością?

Jeśli przyjmujesz coś z wdzięcznością, cieszysz się, to jesteś na bardzo wysokim poziomie, czwarty *dan* doskonałości. Zazwyczaj obdarowanemu zawsze mało, zawsze dostał gorsze, zawsze nie to. Są ludzie, którzy w metabolizmie mają narzekanie. Pomagamy, więc wiem, o czym mówię. Nieraz włącza się agresor: „A zrób człowieku sam, jak ci nie pasuje”. Ale z drugiej strony, jeśli wiemy, że ten ktoś musi sobie po prostu pogadać, a tak naprawdę bardzo potrzebuje pomocy, pozwalamy mu na to, choć po ludzku to trudne.

Nie wolno ludzi od siebie uzależniać. Dając, warto zapytać: „Co możesz dać w zamian?”. Ludzi czasem dziwi to pytanie, a przecież musi być coś takiego jak wzajemność, wyrównanie, odpracowanie. Nasze siostry nieraz z dobroci serca przyjmują biedną rodzinę czy kogoś bezdomnego, chcąc im w ten sposób pomóc. Po jakimś czasie okazuje się, że te osoby utknęły i nie mogą przekroczyć swojej sytuacji. Jest im po prostu wygodnie: mają ciepły kąt, pełną miskę. Sami od siebie nic nie muszą dawać. Uważam, że miłość bliźniego to także wymaganie od niego, stwarzanie szansy, by mógł się odzwajemnić.

Zawsze można coś zrobić. Sama zbierałam złom. Chłopaki nauczyły mnie sprawdzać, czy jest aluminiak, czy nie ma. Jestem po szkole mechanicznej, więc miałam już wstęp, ale to bezdomni powiedzieli mi, ile puszek wchodzi na jeden kilogram. Właśnie o tym z nimi rozmawiałam, bo musisz wyjść od ich codzienności, od puszek aluminiowej, by móc rozmawiać o Jezusie. Dlaczego? Bo Jezus też

tak robił. Dla wielu ludzi ich codzienność to cena złomu. Znam całe rodziny, które utrzymują się z tego, co znajdują na śmietniku. Są u nas takie rejony niczym państwo w państwie. Zupełnie inny świat. Jedno miasto zasypia, drugie się budzi... Wcześniej tego nie wiedziałam.

Świat wykluczonych?

U Boga nie ma marginesów. Bóg też tam jest. Są tam też święci, którzy zanurkują w śmietniku, by ocalić zużytą kartę telefoniczną z wizerunkiem Matki Bożej i Ojca Świętego, bo „to się nie godzi, żeby Matka Boża była w śmietniku”. Ja, zakonnica, nie robiłam tego. Poznałam ten świat i ogrom cierpienia, ale zrozumiałam też, że wszędzie da się żyć. Bezdumni nauczyli mnie, jak zabezpieczyć buty, żeby nie przemokły, że gazeta pod kurtką uchroni przed zimą, gdzie w mieście dają ciepłą zupkę...

Pomaganie to prawdziwa sztuka.

Trzeba mądrości w pomaganiu, by nie robić tego na zasadzie: „pomogłam i teraz dobrze się czuję”. Przepraszam bardzo... To nie ma sensu. Widziałam tysiące takich akcji, chociażby z funduszy europejskich. Bezdumni musieli kwitować odbiór ryżu i kaszy. Tylko gdzie oni mają sobie to ugotować? Paranoja... Jeśli chcemy kogoś obdarować, musimy się wysilić, sprawdzić, kto i jakiej pomocy potrzebuje. Nie dawajmy diabetykowi czekolady. Ale ludzie często nie sprawdzają, czy dając komuś dwa zeta na dworc, naprawdę pomagają. Nie zastanawiają się, czy swoim gestem

nie utwierdzają go w przekonaniu, że to dobry sposób na życie. Znam wielu, którzy właśnie zrobili sobie z tego sposób na życie. Wywalają swoich starych rodziców na dworzec czy pod kościół, żeby zebrali. Zebrzący nie mają z tego żadnych pieniędzy. To zorganizowana przestępczość. Powtórzę: dać nie znaczy pomóc. Ktoś wychodzi z kościoła, rzuci grosz i poczuje się dobrze, bo pomógł: „Jaki jestem fajny”. Tylko że te pieniądze mogą kogoś pozbawić życia. Dlatego nasze stowarzyszenie to też edukacja i uwrażliwienie społeczne. Jeśli chcemy mądrze pomagać, wesprzyjmy jakąś organizację, fundację. Jest ich naprawdę wiele. Wysił się, idź, zobacz, poznaj... Wtedy to jest pomaganie. Robienie czegoś, by fajnie się poczuć, to egoizm. Pycha jak nic.

Więcej grzechów nie pamiętam, co nie znaczy, że ich nie mam...

Wesprzyj akcję zbiórki pieniędzy na Centrum dla dzieci:

www.budujemycosdobrego.pl

Stowarzyszenie Po MOC

ul. Krasińskiego 21

40-019 Katowice

tel. 32 255 38 69

pomoc@po-moc.pl; www.po-moc.pl

Wokół uczynku miłosierdzia:
Nieumiejętnych pouczać

Między pouczeniem a krytyką

**Z ks. Jackiem Stryczkiem, duszpasterzem ludzi
biznesu, prezesem Stowarzyszenia Wiosna,
twórcą Szlachetnej Paczki,
rozmawia Agnieszka Toczko-Rak**

W treści jednego z uczynków miłosierdzia co do duszy mamy dwa słowa: „nieumiejętni” i „pouczać”. Zacznijmy od słowa „pouczać”. Co ono, zdaniem Księdza, znaczy?

Możemy przyjąć dwa kierunki. Pierwszy jest taki: „Ty mały osłe, ja ci powiem, jak masz żyć!”. Czyli nastawienie z góry, kiedy ktoś ma poczucie przewagi. Drugi, który oczywiście ja bardziej lubię, polega na tym, że kiedy człowiek gdzieś tam się zagubi, to zaczyna być otwarty na przyjmowanie wskazówek, porad. Uważam, że jest taka przestrzeń, która w ludziach się pojawia, kiedy są gotowi przyjąć radę z zewnątrz.

A kto powinien pouczać? Wszyscy czy wybrani?

Ludzie dzielą się na dwie grupy. Jedna grupa to taka, że jak coś robią, to im wychodzi, a druga grupa to taka, że jak robią, to robią.

Pouczać powinni zatem ci, którzy jak robią, to im wychodzi, czyli są mądrzy. Bo z jakiegoś powodu właśnie są takie dziwne osoby, które jak coś robią, to im wychodzi, czyli wśród tysięcy różnych informacji, zmieniających się okoliczności, ludzi, których nie da się do końca szybko poznać, potrafią podejmować decyzje, które prowadzą do szczęśliwego końca. I to są osoby, które zostały nominowane do tego, żeby pouczać.

Przejdźmy do drugiego słowa, „nieumiejętni”. Kim są? Jacy są?

Cóż, głupoty na tym świecie co niemiara... Moim zdaniem jest kilka poziomów głupoty. Przykładowo taki, przedstawię to obrazowo. Jestem inżynierem, więc niejako technicznie używam słowa „popieprzony”. „Popieprzony” to taki, który mógłby zrobić normalnie, ale nie potrafi. W związku z tym zawsze po tym, co zrobił, ma kłopoty. Na przykład taka sytuacja: rodzina nie umie zarabiać, mąż i żona. Ponieważ nie potrafią zarabiać, to nie wiedzą, co zrobić, więc zaczynają pożyczać. I nie dość, że nie potrafią zarabiać, to jeszcze mają długi, których nie potrafią spłacić. Załóżmy, że potem ktoś się ulituje nad nimi i spłaci im te długi. Prawdopodobnie, jak im spłaci te długi, to ta rodzina, widząc, że ma zerowy stan – ale przypominam, nadal nie umie zarabiać – znowu zaciągnie te same długi. Tak. Niestety, to duży problem wielu osób...

Istnieje też inny poziom, już bym nie nazwał głupoty, ale bardziej właśnie nieumiejętności. Załóżmy, że ktoś wychował się w rodzinie, w której były patologiczne relacje między rodzicami, i na bazie doświadczeń życiowych nie potrafi budować zdrowych relacji.

Chciałby, ale nie potrafi. Po prostu nie wie, jak to się robi, nie wie, co się robi konkretnie, żeby to była zdrowa relacja. To jest taka bardzo naturalna sytuacja do pouczenia. Podpowiedzenia, jak to się robi, żeby zbudować zdrowe relacje.

Ale jak umiejętnie pouczać nieumiejętnych? Czego należy się w takim pouczeniu wystrzeżać?

Odpowiem na przykładach. Niedawno rozmawiałem z pewną znaną osobą z zacięciem społecznym. Opowiadała, jak od trzech lat pomaga rodzinie. Często im przywozi rzeczy, pewnie każdy by chciał mieć jej rzeczy, wiadomo, top modelka... I ze zgrozą patrzy, jak oni funkcjonują. Co prawda ta matka opiekuje się dziećmi, ale mąż cały czas siedzi w domu, brak dochodu, zaczęli wpadać w długi. I ona do nich przychodzi z ciuchami i zaczyna ich pouczać, a przecież wiadomo, że ci ludzie pochylą głowy przy pouczeniu, biorąc pod uwagę, że to jest bardzo niski koszt tego, że znowu im przywiezie jakąś pomoc. I że nie są w ogóle otwarci, żeby zmienić swoje życie. Tak nie należy robić.

Dokładnie taka sama sytuacja jest w przypadku niektórych księży. Krzyczą z ambony na ludzi, jak ludzie mają żyć, ale to jest nie-spójne z tym, jak ci księża funkcjonują na co dzień. Powinni robić tak, jak mój znajomy na Żywiecczyźnie, ksiądz Władysław Ząszel. Jak trafił do swojej parafii i zobaczył, jaki jest w niej poziom alkoholizmu, to zaczął ciężko z tymi ludźmi pracować. Wygłaszał na ten temat kazania, owszem, ale to był jeden z elementów jego pracy. Przede wszystkim sam dawał przykład: wprowadził zasadę

wesel bezalkoholowych, z dodatkowymi motywacjami. W ogóle masę różnych rzeczy zrobił w tej wsi. On nie mówił – on o tych ludzi walczył. I okazało się, że w dużej mierze problem alkoholizmu został po pewnym czasie zniwelowany. Ksiądz Zązel jest z pewnością takim bohaterem, osobą, która nie bała się być blisko ludzi i szukać rozwiązań.

Czy w Wiośnie nieumiejętnych się poucza? Jak to się robi?

W Wiośnie, w pracy, poucza się nieustająco [śmiej]. Generalnie Wiosna jest, jako miejsce pracy, definiowana w ten sposób, że jeżeli mamy pomagać ludziom, to u nas muszą być ludzie, którzy są sprawczy i sprawni, dojrzały. To taki paradoks, bo czasami mówi się, że w Kościele w centrum są ubodzy i to oni mają zająć centrum, czyli zacząć rządzić. Wyobraźmy sobie, paralelnie, szpital, w którym chorzy są w centrum, czyli w dyżurkach lekarskich. Masakra. W dyżurkach muszą być przecież lekarze, którzy koncentrują się na pomocy słabym, chorym! Dlatego też mamy taką zasadę w Wiośnie, jako w pracy, że przyjmujemy tylko ludzi sprawnych i sprawczych, czyli takie osoby, które po przyjęciu informacji zwrotnej potrafią się skorygować. Mamy kulturę informacji zwrotnej albo kulturę, jeżeli ktoś nie potrafi się skorygować, kończenia współpracy, bo odpowiedzialność, która spoczywa na nas jako na zespole, który podejmuje tak wielkie wyzwania, jest ogromna.

I ci sprawni ludzie później sprawnie pouczają nieumiejętnych?

Tak. Ale nasz program pomocowy jest czymś innym, czymś znacznie więcej niż pouczaniem nieumiejętnych. Bo pomagać jest trudno, znacznie trudniej niż pouczać. Przecież gdyby było łatwo pomagać, chociażby dzieciom, które są najgorszymi uczniami w szkole, to wszyscy by to robili! I to właśnie, co nas charakteryzuje, to to, że my działamy bez dogmatu. Chcemy, żeby dziecko, które doświadcza w szkole porażek, poradziło sobie w życiu. Metodą prób i błędów staramy się wypracować metodologię, dzięki której w tych dzieciach zaszczepimy ziarno sukcesu i umiejętność, jak sobie radzić w życiu. Nie jest absolutnie czymś oczywistym, jak to działa. Jeszcze raz powtórzę: jakby to było proste i oczywiste, to wszyscy by tak robili. Ogólnie tendencja europejska, ta socjalistyczna, jest taka, żeby przekazywać pieniądze na potrzebujących, a w praktyce często te pieniądze utrzymują tych ludzi w ich bezradności. I wydaje mi się, że nasza metodologia: „w krótkim czasie pomóc ludziom się zmotywować i odnaleźć w życiu” jest na rynku unikatowa. To prawdziwe pouczanie nieumiejętnych.

A w ujęciu katechizmowym, chrześcijańskim umiejętność pouczania jest darem, łaską? Została nam dana i dzielimy się nią?

Wyobraźmy sobie, że ktoś jest sam i podejmuje decyzje albo że jednak ma kogoś bliskiego, z kim może te decyzje konsultować. Rozumiem, że jeżeli człowiek współpracuje z Bogiem, to ma jeszcze jakby tę drugą „osobę”, z którą może się dogadać, coś zrozumieć, coś zobaczyć szerzej, inaczej, i podjąć decyzję. W moim przypadku większość metodologii, które stosują odnośnie do pouczania nieumiejętnych, ma swoje źródło w Ewangelii. Ja na takie rozwiązania

nie wpadłem, nikt mnie tego tak nie nauczył. Ja sam się tego nauczyłem, studiując Ewangelię. Plus rozumiem, że życie duchowe dodatkowo sprawia, iż pojawiają się nowe idee, nowe aspiracje. Tak, w coś takiego wierzę. Więcej: jestem przekonany, że tak jest.

Czy powinniśmy uczyć się, przygotowywać do umiejętnego pouczenia? Co powinniśmy w tym celu robić?

Tylko dwie rzeczy. Jedna to podążać drogą tych osób, które jak coś robią, to im wychodzi, bo to jednak doświadczenie buduje, konstruuje człowieka. Druga, trzeba rozwijać swoje zdolności interpersonalne i generalnie, na przykład, wiedzieć, na czym polega zdrowa komunikacja, czyli co to znaczy, żeby w zdrowy sposób przekazywać informację zwrotną. Moja przemiana w życiu – już po na wróceniu – polega właśnie na tym, że wcześniej bym wyskoczył z tym, żeby kogoś pouczyć, a dzisiaj potrafię czekać, aż ktoś jest gotowy, żeby przyjąć informację. Nawet w Wiośnie pytam: czy chcesz, czy jesteś gotowy na informację zwrotną? I nie wiadomo, co ta osoba ma powiedzieć, bo jak można powiedzieć „nie”, ale przynajmniej się pytam [śmiech].

Wróćmy jeszcze do tego ewangelicznego nurtu. Czy Jezus pouczał, a jeśli tak, to w jaki sposób to robił? I jakie z tego wnioski płyną dla nas?

Pouczał. I to na trzech poziomach. Mówił na przykład: *Idź, a od tej chwili już nie grzesz!* (J 8, 11) – to jest właśnie taki moment, kiedy kogoś ratuje i ta osoba, rozumiem, jest otwarta i za tym podąża.

Ale jest jeden bardzo ciekawy przypadek, kiedy osoba pouczana nie była otwarta na pouczenie. To przypadek paralytyka, który trzydzieści osiem lat czekał na to, że się sadzawka Owcza, Betesda, poruszy, ale nie było człowieka, który by go tam po tym poruszeniu wniósł (por. J 5, 1-18). To jest w ogóle bardzo ciekawa historia, ponieważ jakim trzeba być „kijem”, za przeproszeniem, żeby przez trzydzieści osiem lat, będąc w potrzebie, nie znaleźć nikogo, kto by mógł pomóc! Jezus go uzdrawia i każe mu wziąć łożo. Ale to był akurat szabat. Żydzi dopadli tego gościa i mówią: *Dziś jest szabat, nie wolno ci nieść twojego łoża* (J 5, 10). Jezus go potem spotyka i mówi mu: *Oto wyzdrowiałeś. Nie grzesz już więcej, aby ci się coś gorszego nie przydarzyło* (J 5, 14). I on po tym spotkaniu – oczywiście w zamieszaniu, gdy został uzdrowiony, nie zauważył w ogóle, kto go uzdrowił, no bo był „kijem” po prostu – jak tam do niego Jezus podszedł w tłumie i powiedział mu: *Nie grzesz już więcej*, to zaraz poleciał, doniósł na Jezusa do Żydów. Widać, jaki to był człowiek! I taką historię mamy o nieskutecznym pouczeniu. Podobnie jest też, tak jeszcze dopowiadając, z Piłatem. Jezus mówi do niego: *Nie miałbyś żadnej władzy nade Mną, gdyby ci jej nie dano z góry* (J 19, 11). I Piłat na to pouczenie też nie reaguje właściwie.

Te trzy obszary pouczania Jezusa to...?

Po pierwsze, Jezus naucza tłumy, czyli przekazuje informacje o tym, jak udanie można żyć. Mówi do tłumów. Po drugie, w sposób pogłębiony pracuje z apostołami i uczniami. Na przykład w przypowieści o siewcy (por. Mt 13, 1-23). I po trzecie, w sytuacjach już takiej interakcji, chociażby z Nikodemem (por. J 3, 1-21), takiego

bezpośredniego kontaktu; włącza tu element ukierunkowujący ku lepszemu życiu.

Poucządzając, możemy być postrzegani jako wywyższający się, prze-mądrzający, lepiej wiedzący. Jak uniknąć takich etykietek?

Jak mówił ksiądz Edward Staniek, jeżeli włożysz komuś perłę do porannego pantofla, to gdy wstanie i założy kapcie, to będzie go uwierała, więc się wkurzy i ją wywali. Krótko mówiąc: nie należy dawać ludziom tego, czego nie chcą. Jak ktoś ma te wszystkie mądre pouczenia, to powinien poczekać na sytuację, w której należy to zrobić. Nigdy nie należy się narzucać, nawet wtedy, gdy masz najlepszą z możliwych rad. Często ludzie widzą, na przykład, że ktoś fatalnie funkcjonuje czy żyje, i tak mu się narzucają, ale ta osoba nie jest na to otwarta, i im bardziej ktoś narzuca się z pouczeniami, to tym bardziej ta osoba się blokuje. Ja bym powiedział, że aby pouczać nieumiejętnych, trzeba umiejętnie to robić, czyli trzeba wiedzieć, kiedy i jak to się robi.

To teraz odwrotna sytuacja: jak przyjmować pouczenia? Z pokorą, polemizować, cieszyć się, złościć?

Normalnie. Jeżeli pouczenie jest informacją zwrotną czy wskazaniem drogi, to przyjąć normalnie. Jeżeli jednak ktoś się nam narzuca, to trzeba mu wyznaczyć granice i powiedzieć: „Nie! Ja nie chcę tak współpracować!”. Jeżeli nie godzimy się na to, by ktoś ingerował w nasze życie, to powinniśmy takie granice wyznaczać. Na przykład czasem bywa, że rodzice pouczają dzieci, chociaż te

mają pięćdziesiąt lat. No w ogóle o co chodzi?! Trzeba w takiej sytuacji po prostu powiedzieć: „Nie życzę sobie”.

Czy Ksiądz nieumiejętnych poucza? Jak to robi?

Na bieżąco [śmiech]. Właściwie jedyną rzeczą, którą się zajmuję, jest to, żeby ludzi przekierować na ich rozwój. No może nie jedyną, ale jedną z. A to, że się to dokonuje na różne sposoby, czy przez inspirację, czy przez działania, czy przez projekty, to są jakby różne rzeczy. Czemu mnie to kręci? Sam tego nie wiem. Lubię być w środowisku rozwiniętych ludzi.

A czy Ksiądz przyjmuje pouczenia? W jaki sposób?

Przyjmuję. W normalny. To znaczy ja w ogóle pożądam informacji zwrotnej, jeśli tylko jest merytoryczna. Często na przykład pytam: „Jak kazanie?” – i można powiedzieć, że było złe – „Jak coś mi tam wyszło?”, „Jak konferencja?”. Ja ogólnie monitoruję prawie wszystko, co robię. Wszędzie, gdzie potrafię użyć jakiegoś narzędzia badawczego, żeby sprawdzić, jaki jest rezultat tego, co robię, jak funkcjonuję, to używam. To dla mnie źródło rozwoju.

Jak we współczesnym świecie zdobyć się na odwagę pouczenia, gdy wokoło nawołuje się do pewnej obojętności i ta obojętność przybiera różne maski: czasami jest to tolerancja, czasami skupienie na sobie, niewtrącanie się w cudze sprawy?

Nie wiem. Ja chyba tego współczesnego świata tak jednobrzmiąco nie rozumiem. Są bardzo różne tendencje i zjawiska. Natomiast mieliśmy bardzo ciekawe doświadczenie. Parę lat temu moi studenci przygotowywali do bierzmowania młodych ludzi. Wymyśliliśmy to na zasadzie, że były małe grupy, które pracują ze studentami, warsztatowo. Nagle okazało się, że dla większości tych młodych ludzi nasi liderzy to osoby, które najbardziej w ich życiu się nimi interesowały! Takiego zainteresowania nie mieli ze strony swoich rodziców, ze strony szkoły tym bardziej, i w ogóle od nikogo. I dla mnie to był przykład – jeżeli mówimy o współczesnym świecie – ogromnej posuchy w obszarze budowania relacji, z poziomu których pouczenie ma sens. To w ogóle jest niesamowite. Z moich obserwacji wynika, że są osoby, które potrafią stworzyć środowiska z bardzo dużą interakcją, ale wiele osób żyje między ludźmi jak na pustyni. I nawet jakby się chciało informację zwrotną, to nie ma od kogo jej dostać, a gdyby chciało się pouczenie, to też nie ma kogo spytać...

A jak odróżnić pouczenie od krytyki? Gdzie jest granica między tymi dwoma pojęciami?

Powiedziałbym tak: w pouczeniu najważniejsze jest dobro tej osoby, a w krytyce – żeby ktoś przeniósł negatywne emocje. Inny jest cel. Krytyk to osoba, którą często coś wkurza i musi to powiedzieć, ale to nie ma na celu jakiegoś dobra, tylko on po prostu ma taką potrzebę, żeby to powiedzieć. Dlatego też pouczenie, prawdziwe pouczenie, którego celem jest dobro drugiej osoby, jest delikatne i wrażliwe. Adekwatne do sytuacji.

Już omówiliśmy, co z pouczenia wynika dla pouczanego, a co zyskuje na tym pouczający? Czy w ogóle coś zyskuje?

Jeżeli pouczony będzie fajniejszy, to będzie fajniej na świecie. Ja uwielbiam mieć wokół siebie fajnych znajomych i uwielbiam, jak się ludzie rozwijają. Można pouczać, żeby kogoś uzależnić, można pouczać, żeby na kimś się wyżyć, a można po to, żeby ta osoba weszła potem w relację partnerską.

Ostatecznie: powinniśmy pouczać czy nie powinniśmy?

Tak. To jest jeden z elementów praktykowania miłości.



Wokół uczynku miłosierdzia:
Modlić się za żywych i umarłych



Wieczne odpoczywanie...

Muzyczne oblicze modlitwy za zmarłych

Muzyka, szczególnie wokalna, towarzyszy człowiekowi od zarania dziejów. Ułatwia mu nawiązywanie więzów wspólnotowych, uzewnętrznianie emocji, wspomaga radość, łagodzi smutek i ból. Jest istotną częścią wszelkich ceremoniałów, odgrywa ważną rolę w sytuacjach granicznych. Jedną z nich jest śmierć, strata kogoś bliskiego.

Wyrażanie żałoby i bólu po stracie poprzez muzykę było i jest ogólnie praktykowane zarówno u ludów pierwotnych, jak i w wysoko zorganizowanych cywilizacjach. Z ludowych lamentów pogrzebowych płaczek narodziły się w średniowieczu plankty (od łacińskiego *planctus* – płacz, narzekanie) Matki Boskiej, z których najśłynniejszy na ziemiach polskich był spisany w XV wieku *Lament Świętokrzyski*. Bywały też plankty świeckie, powstające po śmierci kogoś znacznego. Gał Anonim w *Kronice polskiej* z przełomu XI i XII wieku zapisał *Lament Ojczyzny* szeroko znany na ziemiach polskich po śmierci Bolesława Chrobrego.

Czas śpiewów chorałowych i wczesnej polifonii

Uczestnicząc we Mszy świętej, rzadko zdajemy sobie sprawę z tego, że wybór i porządkowanie składających się na nią modlitw i śpiewów liturgicznych trwały przez wieki, że w poszczególnych ośrodkach sprawowanie kultu różniło się w wielu szczegółach. Kodyfikację samego obrzędu i śpiewów z nim związanych zwykliśmy przypisywać Grzegorzowi Wielkiemu, choć najnowsze badania wykazały, że był to proces bardziej złożony i trwający dłużej niż pontyfikat papieża wielce zasłużonego dla Kościoła.

W 998 roku Odilon, opat z Cluny, zainicjował modły za dusze zmarłych z listopada jako przeciwagę odprawianych powszechnie obrządków czczących zmarłych, a wywodzących się z tradycji pogańskich. Tak narodził się Dzień Zaduszny. Msza święta w ten dzień odprawiana, podobnie jak nabożeństwa towarzyszące pogrzebom, rozpoczyna się Introitem *Requiem aeternam dona eis Domine...* Te słowa pochodzą z Czwartej Księgi Ezdrasza, apokryfu powstałego najprawdopodobniej na przełomie I i II wieku w kręgu palestyńskich faryzeuszy, który włączony został do Wulgaty, a po Soborze Trydenckim umieszczony w appendiksie. Według obrządku rzymskiego po Introicie we mszy żałobnej następuje *Kyrie*, potem *Graduale*, *Tractus*, *Sequentia*, *Offertorium*, *Sanctus*, *Agnus Dei*, *Communio*.

Liturgii mszalnej towarzyszyły wyłącznie śpiewy chorałowe mniej więcej do drugiej połowy IX wieku, gdy coraz częściej stosowano

praktykę polifoniczną, najpierw prostą, dwugłosową, z czasem dochodzącą do czterogłosu. Wraz z doskonaleniem form polifonicznych poczynają pojawiać się na kartach historii muzyki nazwiska kompozytorów tworzących skomplikowane oprawy liturgicznych tekstów, także modlitw składających się na mszę żałobną. Pierwszym kompozytorem, który opracował muzycznie całość mszy żałobnej, był Guillaume Dufay, żyjący w XV wieku kompozytor franko-flamandzki urodzony w Cambrai i związany z tamtejszym dworem oraz z kapelą papieską.

Niestety, jego *Requiem*, bo tak od pierwszego słowa Introitu nazywano kompozytorskie umuzycznienia mszy żałobnej, nie do trwało do naszych czasów. Najstarszy zachowany tego typu utwór wyszedł około 1461 roku spod pióra Johannesesa Ockeghema, ucznia Dufaya, kapelmistrza w opactwie St. Martin w Tours. W późniejszych latach muzyczne opracowania mszy żałobnych znajdujemy u większości ówczesnych kompozytorów. Co ciekawe, ci kompozytorzy korzystali z różnych tekstów pojawiających się w różnych obrzędach. Pierwszym, który skomponował *Requiem* w obrzędku rzymskim, był działający na przełomie XV i XVI wieku Antoine Brumel urodzony w okolicach Chartres, związany początkowo z paryską katedrą Notre Dame, a potem we Włoszech z Ferrarą, Faenzą i Mantuą. Był jednym z najbardziej znaczących twórców swojej epoki, a jego czterogłosowa *Missa pro defunctis* to charakterystyczna dla tego czasu kompozycja, w której surowy chorał jest kanwą obudowaną wykwintną polifonią.

Barokowy przepych i postpalestrinowska prostota

W *Roku kościelnym* czytamy: „W liturgii Kościoła trzeba wyróżnić element Boski i ludzki. Pierwszy jest stały i niezmienny. Należą do nich obrzędy, które ustanowił Chrystus [...]. Tych Kościół zmienić nie może [...]. Ma jednak pełne prawo do tych obrzędów, które w ciągu wieków sam wprowadził. Stanowią one jakby oprawę do obrzędów Chrystusowych, którą Kościół stara się stale upiększać, nadawać jej nowy blask, zdobić ją coraz misterniej, by w ten sposób podkreślić wagę i unaocznic wiernym znaczenie obrzędów, które ustanowił Jezus Chrystus”¹.

Te zdania można przenieść na grunt muzyki sakralnej. Z czasem, w ramach „upiększania, nadawania nowego blasku, zdobienia jej coraz misterniej”, zaczęły przenikać do niej w coraz znacniejszym stopniu zdobycze formalne i estetyczne muzyki świeckiej. W późnym renesansie, a potem w baroku w świątyniach rozbrzmiewały nie tylko chóry i muzyka organowa, lecz także zespoły instrumentalne. Monumentalne budowle sprzyjały rozwojowi techniki polichóralnej (ten nurt zainicjowali kompozytorzy związani z bazyliką św. Marka w Wenecji), modlitewne teksty coraz częściej opracowywane były w rodzącym się we wczesnym baroku stylu koncertującym. A ponieważ barok kochał wybujałość, monumentalizm, zdarzały się kompozycje monstra. Na przykład poświęcenie katedry w Salzburgu w 1628 roku uświetnione zostało wykonaniem mszy rzymskiego kapelmistrza Orazia Benevolego na dwa chóry ośmiogłosowe, sześć zespołów instrumentalnych, dwoje organów.

1 W. Zaleski SDB, *Rok kościelny*, Warszawa 1989, s. 11.

Tak bogata szata dźwiękowa sprawiała, że „Msza św. przeradzała się niekiedy w kościelne koncerty w obecności liturgii”².

Część kompozytorów, korzystając z nowinek technicznych i estetycznych, pisząc muzykę sakralną coraz bardziej autonomiczną, wykraczającą poza ramy liturgii, nie odrzucała jednocześnie tak zwanego *stile antico* sformułowanego w XVI wieku przez Giovanniego Palestrinę. Związany z rzymskimi świątyniami, między innymi z Bazyliką św. Piotra, kompozytor łączył polifonię z dbałością o znaczenie tekstu. Prostota rytmiczna i harmoniczna, piękno melodyki nawiązującej do chorału gregoriańskiego, mistrzostwo formy, powaga, wręcz pewna hieratyczność muzyki Palestriny sprawiły, że Sobór Trydencki uznał jego styl za oficjalny styl wielogłosowej muzyki kościelnej. Mimo wszelkich późniejszych zmian stylistycznych tradycja palestrinowska przetrwała wieki i w drugiej połowie XIX stulecia stała się podstawą odnowy muzyki kościelnej.

Msze żałobne pisane były w obu stylach. Marc-Antoine Charpentier, jeden z mistrzów francuskiego baroku, w napisanej w *stile antico* *Messe de mort* wznosił się na prawdziwe wyżyny artyzmu. W tym samym czasie Heinrich Ignaz Franz von Biber napisał równie poruszające *Requiem f-moll* w *stile moderno*. Oba dzieła swymi rozmiarami dobrze wpisują się w liturgię.

Barokowe uroczystości pogrzebowe, szczególnie gdy dotyczyły zmarłych stanu szlacheckiego, wymagały bogatszej oprawy niż

2 E. Hinz, *Zarys historii muzyki kościelnej*, Pelplin 2008, s. 89.

tylko msza żałobna. W dorobku ówczesnych kompozytorów znajdujemy kantaty żałobne pisane do różnych tekstów, wśród których znaleźć można bądź to specjalnie dobrane wersy modlitewne, bądź to okolicznościową poezję. Jednym z ostatnich utworów napisanych przez Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego, największego polskiego kompozytora późnego baroku zwanego czasem „polskim Bachem”, jest obszerny *Conductus funebris* powstały z okazji zgonu króla Augusta II Sasa w 1733 roku.

Notabene kilka lat wcześniej Johann Sebastian Bach po śmierci Krystyny Eberhardyny, żony Augusta II, napisał kantatę do wierszy znanego podówczas filozofa i poety Johanna Christoph’a Gottscheda. *Oda żałobna* BWV 198 należy do najpiękniejszych utworów Lipskiego Kantora. Jej chóry i arie przepojone są szlachetną powagą, zwracają myśli słuchaczy ku sprawom ostatecznym. Poszczególne fragmenty *Ody żałobnej* Bach wykorzystał potem w innych swoich utworach, co było w tamtych czasach powszechną praktyką. W żadnym kontekście nie brzmią one jednak tak poruszająco jak w swojej pierwotnej wersji.

Requiem koncertowe

Z tysięcy mszy żałobnych, jakie zostały skomponowane od powstania tego gatunku muzycznego do naszych czasów, wykonywanych jest zaledwie garstka i to przede wszystkim w salach koncertowych. Owszem, w trakcie pogrzebowych obrzędów, jeśli czas i okoliczności na to pozwalają, słyszymy fragmenty najpopularniejszych *Requiem*, czyli Wolfganga Amadeusza Mozarta lub

Giuseppe Verdiego – omawianych niegdyś na tych łamach³ – ale tylko fragmenty.

Gdy ta forma mszy wyemancypowała się z liturgii i stała się oryginalnym dziełem muzycznym o religijnej tematyce, kompozytorzy poczęli swobodniej traktować jej tekst. Pewne wersy mszalne pomijali, dodawali fragmenty innych modlitw. Requiem stało się wypowiedzią ich indywidualnego stosunku do śmierci, sądu, zbawienia, deklarowanego często w wyniku osobistych przeżyć. Najlepszym przykładem może być tu *Requiem d-moll* Gabriela Fauré, francuskiego mistrza późnego romantyzmu. W połowie 1880 roku kompozytor stracił oboje rodziców. Z końcem tegoż roku powstała pierwsza wersja jego *Requiem*, którą potem uzupełniał. Trwający ponad pół godziny utwór przeznaczony na dwoje solistów, chór i orkiestrę w niczym nie przypomina wielkich *Requiem* Berlioza czy Verdiego przerażających słuchaczy w *Dies irae* sugestywnym obrazem Sądu Ostatecznego. Intymne *Requiem* Faurégo w ogóle pomija *Sekwencję*. Na jego ostateczną wersję składają się *Introit*, *Kyrie*, *Sanctus*, *Pie Jesu*, *Agnus Dei*, *Libera me*, *In Paradisum*. Całość, którą ktoś trafnie nazwał „kołysanką śmierci”, przesycona jest łagodnym smutkiem i nadzieją. Podobnie osobiste przeżycia zainspirowały Johannes Brahmsa do napisania *Ein Deutsches Requiem*, w którym kompozytor w ogóle nie posługuje się tekstem mszalnym, lecz odpowiednio dobranymi wersetami Pisma Świętego.

3 Por. A. Woźniakowska, *Sławne „Requiem” Mozarta*, „Życie Duchowe”, 78/2014, s. 144-148; A. Woźniakowska, *Uczucia malowane dźwiękiem. „Messa da Requiem” Giuseppe Verdiego*, „Życie Duchowe”, 82/2015, s. 154-161.

Wiek XX, zwany przez wielu wiekiem apokalipsy, skłonił kompozytorów do jeszcze innego spojrzenia na formę requiem. Krzysztof Penderecki w *Polskim Requiem*, które ostateczną formę zyskało po ćwierć wieku, posługując się tekstami mszalnymi wzbogaconymi o suplikacje *Święty Boże*, poprzez dedykację poszczególnych części utworu, stworzył swoistą historię Polski. *Lacrimosę*, która powstała jako pierwszy element dzieła, napisał w 1980 roku na odsłonięcie pomnika stoczniovców i dedykował Lechowi Wałęsie. Instrumentalną *Ciacconę* zadedykowaną pamięci Jana Pawła II włączył do dzieła w 2005 roku.

Doświadczenie drugiej wojny światowej stało się dla Romana Maciejewskiego inspiracją do napisania monumentalnej *Missa pro defunctis*. „Postanowiłem skomponować dzieło, które stałoby się jednym z licznych przyczynków do utrwalenia w ludzkiej świadomości przeświadczenia o tragicznym nonsensie wojen”⁴. Podobnymi pobudkami kierował się Benjamin Britten, pisząc na uroczystość otwarcia odbudowanej po zniszczeniach wojennych katedry w Coventry *War Requiem*, requiem wojenne, w którym modlitwy mszalne komentowane są gorzkimi wierszami Wilfreda Owena, poety pacyfisty poległego w przeddzień zakończenia pierwszej wojny światowej. Te dwa plany mistrzowsko zestawione dają klimat wstrząsający słuchaczem.

War Requiem nie jest jedynym utworem Brittena protestującym przeciwko wojnom. Wcześniej, na samym początku drugiej wojny

4 R. Maciejewski, *Warszawska Jesień, książka programowa*, Warszawa 1960, s. 29.

światowej, napisał *Sinfonię da Requiem*, ewokując kompozycją czysto instrumentalną klimat mszy żałobnej. Tytuły poszczególnych części *Sinfonii* – *Lacrimosa*, *Dies irae*, *Requiem aeternam* – najlepiej oddają charakter muzyki. Siedemdziesiąt lat później Krzysztof Meyer zainspirowany poezją Adama Zagajewskiego napisał *Sinfonię da Requiem* jako protest przeciw antysemityzmowi.

Śmierć jest stałym doświadczeniem człowieka, dlatego kompozytorzy niezależnie od ich poglądów na wiarę pisali, piszą i będą pisać msze żałobne lub innego typu kompozycje poświęcone temu doświadczeniu. Ten szkic zaledwie dotyka zagadnienia, by je wyczerpać, potrzebny byłby opasły tom.

H**H**